



PRZYSIĘGA
MIŁOŚCI

MIEĆ ODWAGĘ, BY MARZYĆ
TOM III

SUSAN ANNE MASON

Tytuł oryginału:

Love's Faithfull Promise (Courage to dream)

Autor:

Susan Anne Mason

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Anna Pliś

Redakcja:

Agata Tokarska

Korekta:

Natalia Chrobak-Lechoszest
Dominika Wilk

Skład:

Alicja Malinka

ISBN 978-83-65843-12-8

© 2016 by Susan Anne Mason by Bethany House Publishers, a division of Baker Publishing Group, Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A.

© 2018 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Rzeszów 2021, wydanie III

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Druk: Hartigrama sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.



SUSAN ANNE MASON

tłumaczenie Anna Pliś

*Albowiem przywrócę ci zdrowie i z ran ciebie uleczę
– wyrocznia Pana.*

Jr 30,17

Mojemu bratu Gregowi oraz bratowej Tinie,
a także dwóm bratanicom – Samancie i Madelyn,
z wdzięcznością za wsparcie i dodawanie mi otuchy
w trakcie tej pisarskiej przygody.

Szczególnie dziękuję też Maddy za to,
że jest moją najmłodszą i największą fanką!

Kocham Was!

WRZESIEŃ 1922
NOWY JORK

Deirdre O’Leary przemierzała szeroki korytarz na pierwszym piętrze manhattańskiego szpitala Bellevue, z każdym krokiem odczuwając niespokojne drżenie.

Ileż razy tędy chodziła? Setki? Tysiące?

Najpierw z przejęciem jako studentka pielęgniarstwa, a potem z pewnością siebie jako biegła w swoim zawodzie pielęgniarka.

Nigdy jednak nie towarzyszył jej taki lęk.

Minął zaledwie miesiąc, odkąd zrezygnowała z zatrudnienia w tym miejscu, a teraz wracała z najgorszego możliwego powodu. W kieszeni lnianego żakietu chowała dłoń zaciśniętą na kartce, którą zdążyła przeczytać już setki razy podczas podróży pociągiem z Bostonu – telegram od ojca:

Matka miała udar. Przyjedź szybko.

Jako pielęgniarka, Deirdre aż nazbyt dobrze znała wszystkie związane z tym zagrożenia i powikłania. Było bardzo prawdopodobne, że przyjdzie kolejny udar, który może okazać się śmiertelny. Dlatego gdy tylko odczytała wiadomość, natychmiast porzuciła studia medyczne na uniwersytecie w Bostonie i wsiadła w najbliższy pociąg do Nowego Jorku.

Teraz jej obcasy stukwały rytmicznie i dźwięk ten odbijał się od nieskazitelnych szpitalnych ścian. Dobrze znany zapach środków antyseptycznych oraz sosnowa woń preparatu do czyszczenia niosły ze sobą pewną dozę poczucia bezpieczeństwa, przypominając jej o tak wielu przypadkach, jakie tu wyleczono. W czasie praktyki pielęgniarskiej była świadkiem licznych cudownych ozdrowień.

Na to też liczyła w przypadku swojej mamy.

Deirdre minęła poczekalnię, zaskoczona, że nie było tam nikogo z jej braci i siostr. Spodziewała się, że wszyscy będą czuwać. Gdy doszła do pokoju, który jej wskazano, zwolniła kroku i położyła dłoń na futrynie, po czym zatrzymała się na chwilę, żeby uspokoić przyspieszony oddech. Dla dobra rodziny musi zachowywać się w sposób spokojny i opanowany.

Profesjonalnie.

Bez względu na to, jak bardzo krwawiło jej serce.

Przeszła przez drzwi i do jej uszu dotarł nienaturalny szept. Jej wzrok przykuło od razu metalowe łóżko, które dominowało w tym pomieszczeniu. Mama leżała nieruchomo pod śnieżno-białą pościelą. Obok łóżka, przy poręczy siedział przygarbiony ojciec.

Dolna warga Deirdre drżała. Mama sprawiała wrażenie tak słabej, jak wtedy, gdy o mało co nie pożegnała się z życiem podczas duru brzuszego. Deirdre oraz jej brat Connor również zapadli na tę chorobę, ale w przeciwieństwie do mamy szybciej doszli do siebie. Choroba dała się starszej kobiecie mocno we znaki, podkopując znacznie jej witalność. Ten sam rodzaj paniki, którego Deirdre doświadczała wtedy, powrócił teraz i ścisnął jej wnętrze niczym imadło.

Westchnęła z drżeniem i weszła w głąb pokoju. Pod przeciwległą ścianą siedziała jej najstarsza siostra, Colleen. Miała odchyloną do tyłu głowę i zamknięte oczy. Przynajmniej tata nie był sam.

Ojciec podniósł wzrok, a napięte rysy rozluźniły się nieco na jej widok.

– Dee! Dzięki Bogu, jesteś!

Podniósł się, by ją przytulić. Kruchość, jaka przebijała w spojrzeniu jego niebieskich oczu, tak zupełnie niepodobna do jego potężnej sylwetki, bardzo mocno ją poruszyła. Ucałowała go w policzek, pytając:

– Jak z mamą, tato?

– Na razie stabilnie. Minęły już ponad dwadzieścia cztery godziny bez kolejnych zmian, a lekarz mówi, że to dobry znak.

– To prawda. – Podniosła kartę pacjenta zawieszoną na końcu metalowego łóżka i przejrzała zapisy. Słowo „paraliż” przebijało w kilku miejscach. Zaciśnęła usta. – Czy doktor mówił, jakie leczenie zaleca?

Wyraz twarzy taty stał się bardziej surowy. Podeszedł bliżej i ledwie słyszalnym szeptem rzekł:

– Porozmawiamy o tym później. A teraz twoja matka musi odzyskać siły.

Na drugim końcu pokoju Colleen wybudziła się z drzemki i rozciągając ręce nad głową, zawołała:

– Dee! Dzięki Bogu! – Zerwała się z krzesła i wzrok Deirdre spoczął na lekko powiększonym brzuchu siostry. Czyżby kolejny mały Montgomery w drodze? Jak to się stało, że przeoczyła taką nowinę?

Colleen pochwyciła Deirdre w żywiołowym uścisku.

– Skoro ty już tutaj jesteś, na pewno będzie lepiej. Kto miałby pomóc mamie, jak nie nasza pielęgniarka. – Odsunęła się trochę. – A może powinnam powiedzieć: nasza kształcząca się lekarka? – Pomimo wyraźnego zmęczenia w fioletowych oczach siostry mignęła figlarna iskierka.

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy, niezależnie od tego, jaki tytuł mi przydzielicie. – Deirdre się uśmiechnęła. – Wspaniale wyglądasz. Dlaczego nie powiedziałeś mi, że znowu będę ciocią?

Colleen położyła dłoń na brzuchu.

– Biorąc pod uwagę wielkość naszej gromadki, stwierdziłam, że to już się chyba zrobiło nudne.

– Nonsens! Przez wszystko, co robicie, to wydaje się jeszcze wspanialsze. Prowadzicie z Rylanem sierociniec, adoptowaliście

dwójkę dzieci, macie dwoje własnych, a teraz kolejne w drodze...

– Przechyliła głowę na bok. – Przy tym wszystkim studia medyczne to pestka. Poza tym dzieci nigdy nie są nudne. Prawda, tato?

– Nie moje wnuki. – Uśmiechnął się blado, ale wzrokiem uciekł w stronę łóżka, jakby martwił się, że mama nie będzie już mogła cieszyć się spodziewanym powiększeniem rodziny.

– Gdzie są wszyscy? – spytała Deirdre. – Myślałam, że poczekalnia pełna będzie O’Learych.

Tata zajął z powrotem swoje miejsce koło łóżka.

– Byli tu i pojechali. Ustaliliśmy grafik, żeby mama nigdy nie była sama.

Deirdre przeszył dreszcz paniki. Colleen położyła dłoń na ramieniu taty.

– Skoro już o tym mowa, muszę wracać do domu, zanim dzieci przyjdą ze szkoły. – Ucałowała go w policzek i jeszcze raz przytuliła Deirdre. – Porozmawiamy później.

Kiedy tylko Colleen wyszła, Deirdre popatrzyła ojcu prosto w twarz.

– Czy lekarze powiedzieli, że mamie nie grozi już nic poważnego?

Mężczyzna wstał i wskazał gestem na zewnątrz. Jego wysoka sylwetka zdawała się zajmować całą przestrzeń korytarza.

– Lekarze nie chcą mówić zbyt wiele. Tylko to, że jej stan się nie pogorszył.

Deirdre zagryzła wargę.

– Czy dają jakąkolwiek nadzieję, że po leczeniu będzie w stanie chodzić?

Szczęka taty drgnęła niespokojnie, co wyraźnie wskazało na jego zdenerwowanie. Pokręcił przecząco głową.

– Mówią, że nic się już nie da zrobić. Powiedzieli mi, abym się przygotował, że to paraliż na stałe.

– Ale przecież na pewno jest jakiś rodzaj terapii...

Tata przepuścił korytarzem salową z wiaderkiem oraz mopem i rzekł:

– Kazałem się dowiedzieć w najlepszych ośrodkach w całym kraju.

Deirdre czuła nieznośny ucisk w gardle, który sprawił, że musiała przełknąć, zanim zadała kolejne pytanie:

– Ale przecież chyba nie myślisz o tym, żeby umieścić mamę w jakimś ośrodku? – Jej pełen desperacji szept odbił się echem od szpitalnych ścian.

– Oczywiście, że nie. Zamierzam ściągnąć tu jakiegoś specjalistę.

– Dzięki Bogu! – Spięte mięśnie jej ramion rozluźniły się w poczuciu ulgi. Przez krótką chwilę martwiła się już, że ojciec postradał zmysły.

Tata otoczył ją ramieniem i ruszyli razem z powrotem do sali, gdzie leżała mama.

– W zasadzie to wujek Victor ma już na myśli jakiegoś lekarza z Toronto, który może poszczycić się znacznymi postępami w pracy z pacjentami cierpiącymi wskutek ran kończyn. Zamierza z nim porozmawiać i wtedy da mi odpowiedź. Do tego czasu muszę wiedzieć... – Odwrócił się, stając na wprost niej. – Czy wrócisz do domu, żeby zająć się matką? – Wyraz twarzy ojca stał się niemalże przepaszający. – Brianna i Colleen proponowały pomoc, ale one obie mają rodziny i małe dzieci. No i ty masz najlepsze kwalifikacje. – W jego głosie dźwięczała nuta dumy.

Deirdre przez chwilę cieszyła się tym, co usłyszała. Wcale nie był zachwycony, gdy po raz pierwszy powiedziała mu, że chce zostać pielęgniarką. A tym mniej, gdy zdecydowała, że będzie studiować medycynę.

W jej głowie na chwilę pojawiły się obrazy uniwersytetu medycznego w Bostonie. Minęło zaledwie kilka tygodni zajęć i wcale jeszcze nie zdążyła przywyknąć do życia studenckiego. Wykładowcy

zapewniali ją, że rozumieją powód, dla którego musi wyjechać, ale jak długo będą trzymać jej miejsce, gdy tak wielu kandydatów domagało się przyjęcia na studia?

Bardziej bystrych i obiecujących niż ona.

Myślami wróciła do Jeffreya i tego, jak wiele już poświęciła, by podążać ścieżką swojej kariery.

Jednak wystarczyło, że dostrzegła prośbę zawartą w oczach ojca i wszelkie wątpliwości pierzchły.

– Oczywiście, tato. Nie mogłabym być nigdzie indziej.

Modliła się jedynie w duchu, aby opóźnienie w studiach, nawet na krótką chwilę, nie zniszczyło na zawsze jej marzenia o tym, by stać się pediatrą.



– Tyle na dzisiaj, Fred. Jeszcze jedno powtórzenie i wystarczy.
– Matthew Clayborne podniósł niewładną nogę żołnierza pod kątem czterdziestu pięciu stopni i liczył, podczas gdy Fred miał utrzymać ją w tej pozycji przez całą minutę.

Z czoła mężczyzny lał się pot. Stęknął, kiedy wreszcie noga opadła.

– Jeśli chce mnie pan zabić, doktorze, to nieźle panu idzie.

Matthew poczuł przyływ wątpliwości, gdy rozwiązywał pasek przytrzymujący żelazny ciężarek na goleniu Freda. Czyżby zbyt mocno naciskał na mężczyznę w trakcie drugiej tury terapii w tym tygodniu?

Fred uśmiechnął się szeroko, a stężała od bólu twarz rozpoznała się.

– Spokojnie, doktorze. Żartuję sobie. – Złapał za kule oparte o ścianę obok i wstał, a potem kuśtykając, przeniósł się na swój wózek inwalidzki. – Nie licząc bólu, to nawet miłe uczucie. Mam wrażenie, że te ćwiczenia działają.

Fala ulgi rozlała się w piersi Matthew.

– Cieszę się. Przy dalszej wzmożonej pracy będzie mógł pan zapomnieć o wózku w ciągu pół roku lub nawet szybciej. – Matthew odwrócił się, żeby zapisać coś w karcie mężczyzny.

Historia Freda była mniej więcej taka, jak wszystkich pacjentów Matthew. Młody i sprawny, potem został ranny na wojnie. Odesłany do domu jako kaleka.

Prawie tak jak Matthew.

Fred przejechał wózkiem na drugi koniec sali.

– Widzimy się w przyszłym tygodniu, doktorze. Chyba że jakaś piękna dziewczyna złoży mi lepszą propozycję. – Zaśmiał się, sięgając jednocześnie po swój kapelusz pozostawiony na niskiej półce obok drzwi.

Masując się po udzie swojej kalekiej nogi, Matthew z podziwem zastanawiał się nad tym, jak Fred potrafił zachować pogodę ducha. On, w przeciwieństwie do swojego pacjenta, mógł przynajmniej chodzić, choć lekko utykał.

– Jaka znowu piękna dziewczyna? – Marjorie, żona Freda, stała w otwartych drzwiach, trzymając za rękę małego chłopczyka.

Wyraz twarzy Freda zmienił się i ślady bólu, który dopiero co znosił, ustąpiły miejsca radości.

– Mówiłem oczywiście o tobie, kochanie. Jesteś jedyną piękną dziewczyną w moim życiu – zawołał ze śmiechem.

Udawany grymas Marjorie ustąpił promiennemu uśmiechowi, który niepodważalnie wyrażał jej uczucie do męża.

– Dobra odpowiedź, panie Knox. – Pochyliła się, by go ucałować.

Lekarz odwrócił się, nie mogąc stłumić w sobie nagłego uczucia zazdrości. Nawet gdyby Fred już nigdy nie miał chodzić, Matthew nie sądził, żeby to mogło jakoś zmienić uczucia Marjorie. Czy ten człowiek wiedział, jakim jest szczęściarzem? W głowie Matthew pojawiły się nieproszone obrazy Priscilli. Nigdy nie zapomni tego

spojrzenia pełnego odrazy, kiedy po jego powrocie zza oceanu ujrzała koszmarną bliznę, która przecinała całą górną część jego nogi.

Syn Freda wydał głośny okrzyk, wrywając Matthew z rozmyślań. Dziecko wskoczyło tacie na kolana i oplotło ramionami jego szyję.

– Tatusiu, możemy pójść teraz do sklepu z cukierkami? – Ta dziecięca żywiołowość elektryzowała całe pomieszczenie.

– To zależy, młody człowieku, czy byłeś grzeczny dla mamy, gdy czekaliście. – Fred przyglądał się chłopcu, który teraz wił się na jego kolanach.

– Prawie – odparł. – Mamusia musiała tylko raz powiedzieć mi: „Harrisonie”.

Usta Freda drgnęły.

– Cóż, w takim razie myślę, że zasłużyłeś na cukierki z lukrecją i żelki. Zgadza się, mamusiu? – Puścił oko do żony.

Marjorie roześmiała się.

– Jeśli ja też trochę dostanę, to tak.

Chłopczyk zeskoczył i przebiegł przez pokój. Matthew patrzył na dziecko z pełnym onieśmielenia podziwem, próbując sobie wyobrazić swoją słabowitą Phoebe tryskającą taką nieposkromioną energią.

Marjorie zwróciła się w stronę Matthew, pytając:

– Jak dzisiaj poszło Fredowi, doktorze Clayborne? – W jej głosie wybrzmiewała wyraźna nuta nadziei.

Matthew skinął głową.

– Świetnie sobie radzi. Jeśli nadal będzie robić takie postępy, pod koniec wiosny może już nie potrzebować wózka. – Tak, dał sobie i Fredowi więcej czasu, niż pierwotnie przewidywał.

Jeśli Marjorie była zaniepokojona długością oczekiwania na koniec terapii, bardzo zręcznie to zamaskowała.

– Doktorze, chciałam jeszcze raz panu podziękować za wszystko,

co pan robi. Kiedy myślę o tych całych latach, które Fred zmarł, bo nikt nie chciał się podjąć pracy z nim... – Przerwała na chwilę i przygryzła wargę. – Dziękuję Bogu każdego dnia za to, że trafiliśmy na pana.

Widząc przyływ emocji, które przesłoniły jej niebieskie oczy, Matthew zrobił krok w tył, obawiając się, że kobieta będzie próbowała wziąć go w objęcia.

– To pani mąż wykonuje całą pracę. On zasługuje na pani pochwałę, nie ja.

Położywszy rękę na ramieniu męża, uśmiechnęła się, a potem odparła:

– Obaj zasługujecie na uznanie. Do widzenia, doktorze.

Gdy tylko rodzina opuściła gabinet, zostawiając Matthew w błogosławionej samotności, ustąpiło napięcie i męczyzna mógł znów normalnie oddychać. Podszedł do biurka i zanotował kilka uwag dotyczących kolejnej sesji terapeutycznej. Gdy skończył, wyjął zegarek z kieszeni kamizelki – dziesięć minut do przyjścia kolejnego pacjenta. Niestety pan Worthington nie był tak podatny na leczenie jak Fred Knox.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi. Matthew podniósł oczy i spostrzegł, że do pokoju wchodzi dyrektor medyczny, doktor Victor Fullman. Victor był jego przełożonym, odkąd Matthew zaczął pracować w Szpitalu Wojskowym w Toronto prawie cztery lata temu.

– Dzień dobry, Matthew. Możemy porozmawiać?

Lekarz starał się ukryć przejawy zaskoczenia. Rzadko zdarzało się, żeby Victor schodził tu, do gabinetu terapeutycznego. Zazwyczaj wysyłał wiadomość, prosząc Matthew, by przyszedł do niego.

– Oczywiście, Victorze. Czy coś się stało?

Rosły męczyzna przeszedł przez pomieszczenie.

– Mam prośbę, którą chciałem ci jak najszybciej przedstawić.

Widząc jego niepewny wyraz twarzy, Matthew domyślił się, że nie będzie mu się to podobało. Zdjął okulary do czytania i odłożył je ostrożnie na blat.

– Jaką prośbę?

– Otrzymałem telefon od dobrego znajomego z Nowego Jorku.

– Victor założył ręce na wydatnym torsie. – Jego żona miała udar i jest sparaliżowana po jednej stronie.

– Jaka szkoda. Tak mi przykro. – Matthew podniósł się z taboretu, na którym siedział.

– Neurologicy z Bellevue nie rokują wielkich nadziei na przywrócenie sprawności w kończynach. James jest jednak upartym Irlandczykiem i nie przyjmuje takiej opcji. – Victor się uśmiechnął, a wokół jego oczu zarysowały się wyraźne zmarszczki.

Matthew czekał, nadal nie pojmując, co to miałyby mieć wspólnego z jego osobą.

Victor wyprostował się.

– Chciałbym, żebyś przyjął panią O’Leary jako prywatną pacjentkę. Potraktuj to, proszę, jako osobistą przysługę wobec mnie.

Matthew zmarszczył czoło, bo słowo „prywatna” wzbudzało w nim niepokój.

– Czy pan O’Leary zamierza przetransportować tu swoją żonę?

Victor spojrzał na niego bacznie.

– Nie. Chciałbym, żebyś to ty do nich pojechał. Mieszkają w rozległej posiadłości na Long Island i będzie tam...

– To wykluczone! – Matthew przemaszerował do umieszczonego wysoko na ścianie małego, prostokątnego okna, wychodzącego na poziom ulicy. Patrzył na nogi ludzi przechodzących po chodniku, a serce w piersi waliło mu nierówno. Jak Victor mógł w ogóle zaproponować coś takiego? Wiedział, jak wiele dla Matthew znaczyła pomoc dla żołnierzy. Najmniejsze choćby opóźnienie w ich terapii mogłoby sprawić, że kolejny etap oddaliliby się o tydzień, a może nawet miesiące. – Nie mogę opuścić swoich pacjentów.

– Doktor Marlboro może cię zastąpić do czasu twojego powrotu. Matthew obrócił się.

– Doktor Marlboro nie ma pojęcia o tym, jaką pracę wykonuję z tymi ludźmi.

Victor nawet nie mrugnął.

– Możesz go w to wprowadzić przed wyjazdem.

Matthew otworzył usta, gotów wymienić całą listę powodów, dla których nie było to możliwe. Napotkawszy jednak stalowe spojrzenie Victora, odpuścił. Nie było sensu zdzierać gardła na wyjaśnienia, które jego przełożony odrzuciłby jedno po drugim.

– To nie wchodzi w rachubę, Victorze. A teraz, wybacz, muszę się przygotować na wizytę kolejnego pacjenta.

– Czy to nie ty wspominałeś w zeszłym tygodniu, że zapotrzebowanie na twoje zabiegi maleje? Że zastanawiasz się nad nowym kierunkiem swojej praktyki? To mogłaby być okazja, żeby sprawdzić twoje metody na kimś sparaliżowanym wskutek udaru.

To prawda. Liczba jego pacjentów malała. Większość z nich osiągnęła już maksymalne korzyści, jakie były możliwe w ich przypadkach, a tylko niektórzy nadal potrzebowali zabiegów, aby zapobiec atrofii mięśni. Chcąc zachować dobry poziom praktyki lekarskiej, Matthew musiał pozyskać więcej pacjentów. Jednakże na samą myśl o tak drastycznych zmianach, o tym, że może zająć konieczność zmiany ośrodka, wzdrygał się z niechęcią.

– Przepraszam. Może jeśli mogłaby tu przyjechać, wziąłbym to pod uwagę, ale ja nie mogę teraz stąd wyjechać. – *Nie w sytuacji, gdy Phoebe jest w tak delikatnym stanie.* Krople potu zbierały się pod kołnierzem Matthew, ale wytrzymał wzrok Victora.

Ten ostatni, skłoniwszy w końcu głowę, rzekł:

– Rozumiem, że to ważna decyzja. Szczególnie uwzględniając twoją osobistą sytuację. Ale proszę cię, żebyś się nad tym zastanowił. James O’Leary jest dla mnie niczym brat. Jeśli mógłbym zrobić coś, żeby mu pomóc, muszę próbować.

Gdy drzwi się zamknęły, Matthew ze świstem wypuścił powietrze. To była jedyna bitwa, której jego zwierzchnik nie mógł wygrać. Niezależnie od tego, jak bardzo czuł się dłużny wobec tego człowieka, Matthew nigdy nie mógł opuścić Toronto. Nie mógł zostawić Phoebe, by zajmować się jakąś bogatą kobietą.

Jego córka i dzielący jego los żołnierze potrzebowali go dużo bardziej.

Deirdre po raz kolejny sprawdziła podstawowe dane mamy, porównała wyniki z ostatnimi zapisami w karcie i westchnęła cicho. Mama miała za sobą spokojną noc, a jej stan był stabilny. Sprawiała wrażenie bardziej ożywionej tego poranka i zdołała nawet zjeść trochę śniadania.

Chwała Ci, Panie!

Gdyby tylko teraz tata wrócił od Colleen z dobrymi wieściami, sytuacja wyglądałaby rzeczywiście dużo lepiej. Zamiast nadrabiać kawał drogi do domu na Long Island, ojciec pojechał do kamienicy na Manhattanie, gdzie mieszkała Colleen, żeby zadzwonić do wujka Victora i przespać się chwilę. Ale powinien już wrócić.

Mama zapadła znowu w drzemkę, więc Deirdre wymknęła się z pokoju po kawę. Skierowała się w głąb korytarza, jednak widok taty zmierzającego w jej kierunku sprawił, że natychmiast zapomniała o pragnieniu. Wyszła mu na spotkanie, zaniepokojona jego marsową miną.

– Jak się miewa matka? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Leży wygodnie i odpoczywa. Skontaktowałeś się z wujkiem Victorem?

Skrzywił usta w grymasie.

– Tak, rozmawiałem z nim. – Ująwszy ją za łokieć, pokierował do pustej poczekalni.

– Obawiam się, że nie przynoszę dobrych wiadomości. Victor nie zdołał przekonać doktora Clayborne'a, żeby przyjechał do Nowego Jorku.